

Jak egalitaryści wymyślili „nową biedę”?

Autor: **Anthony de Jasay**

Źródło: econlib.org

Tłumaczenie: **Tomasz Kłosiński**

*Artykuł pierwotnie opublikowany 6 kwietnia 2009 r., tłumaczenie za zgodą
Liberty Fund.*

Wielu twierdzi, że to nie ubóstwo ludzi powoduje choroby społeczne, takie jak problemy z nauką, cięższe nastolatki, przestępczość i krótką oczekiwaną długość życia, lecz fakt, że niektórzy ludzie są biedniejsi od innych. To nie wysokość dochodów, ale różnice między ich poziomami są naprawdę ważne. Wynika z tego, że walka z ubóstwem jest niewłaściwą walką, chyba że zmniejsza nierówności. Właściwym celem jest nierówność i nie ma znaczenia, czy jej zmniejszenie pozostawi biednych tak samo biednymi, jak byli wcześniej. Zarówno oni, jak i całe społeczeństwo będą zdrowsi i szczęśliwsi.

Ta narracja jest najnowszym zwrotem w zagmatwanym łańcuchu argumentów na rzecz przekształcenia mniej więcej liberalnego porządku w taki, w którym sprawiedliwość właściwa zostanie ostatecznie podporządkowana temu, co niektórzy nazywają „sprawiedliwością społeczną”. Wyraźne przesunięcie celu z poziomu ubóstwa na aspekt nierówności; do punktu, w którym ubóstwo staje się nieistotne, o ile jest jednakowe dla wszystkich, jest radykalną nowością. Warto przyjrzeć się, dlaczego idea ta stała się modna.

W chrześcijaństwie od jego początków istniał silny nurt egalitarny, w dużej mierze odziedziczony po judaizmie. Współczesny egalitaryzm religijny, choć nie został zupełnie zastąpiony, to został zdetronizowany przez świecką doktrynę, częściowo [Benthamowską](#), a częściowo [Kantowską](#), która starała się uczynić równy dobrobyt materialny wymogiem wynikającym z jakiegoś oczywistego aksjomatu moralnego. Równy dobrobyt materialny stanowił warunek największej użyteczności społecznej. Był on następstwem posiadania przez wszystkich równych praw lub równych uprawnień moralnych do należnego udziału w dobrobycie.

Takie próby wydedukowania egalitaryzmu z moralności, choć zupełnie jeszcze nie zanikły, nie były zbyt udane. Zakładają one, że wszyscy ludzie zostali stworzeni równymi, jednak codziennie zaprzecza temu fakt, że są oni uderzająco nierówni pod istotnymi względami. Utrzymują, że talenty i inne zdolności, które pozwalają niektórym ludziom cieszyć się większym bogactwem materialnym niż innym, są „moralnie arbitralne”. Chociaż większość ludzi może podświadomie odczytywać to jako „moralnie złe”, to po głębszym zastanowieniu można dojść do wniosku, że nie jest to ani złe, ani dobre, i tym samym nie wspiera ani dystrybucji równej, ani nierównej.

Choć abstrakcyjny argument moralny był i pozostaje słaby, przez długi czas wspierało go powszechne poczucie, że pomoc naprawdę potrzebującym jest obowiązkiem nieodłącznie związanym z uczestnictwem w ludzkiej wspólnocie czy byciu obywatelem. Zakładano również, że obowiązek ten powinien zostać przekształcony w zobowiązanie egzekwowalne poprzez system podatkowy. Uprawnienia socjalne w ograniczonym stopniu zmniejszyły ubóstwo, choć argumentowano, że nie tylko go nie zmniejszyły, ale wręcz pogłębiły, wywołując zależność i brak poczucia odpowiedzialności. Jednak tym, co naprawdę spowodowało zmniejszenie poziomu skrajnego ubóstwa i nędzy na całym świecie w ciągu ostatnich dwóch lub trzech dekad, była „globalizacja”, która umożliwiła setkom milionów ubogich, głównie z Azji, ale także z Ameryki Łacińskiej i Afryki, podjęcie pracy zarobkowej. Można się spodziewać, że w nadchodzących dziesięcioleciach proces ten będzie się rozszerzał i przybierał na sile. Jeśli nie zlikwiduje ubóstwa, to przynajmniej znacznie je złagodzi — tak, że przestanie być ono palącym problemem, który uzasadnia redystrybucyjne opodatkowanie w celu jego zwalczania.

Jeśli ubóstwo będzie coraz słabszym argumentem dla osób dążących do przebudowy społeczeństwa, pozostaje dla nich jeszcze ostatnia deska ratunku w postaci nierówności jako podstawowego źródła naszych problemów, które można by wyleczyć dzięki równości. Stąd we współczesnej retoryce równościowej następuje przesunięcie winy ze zróżnicowania poziomu dobrobytu na różnice w dobrobycie materialnym, przesunięcie, które właśnie się dokonuje.

Wiele badań empirycznych ma na celu wykazanie, że równa dystrybucja przywilejów lub bogactwa skutkuje mniejszą liczbą dysfunkcyjnych cech społecznych niż dystrybucja nierówna. Uprzywilejowane pawiany, żyjące w izolacji od innych, radzą sobie dobrze, ale kiedy mieszają się z innymi pawianami, z których niektóre mogą je przewyższać, rozwijają się u nich

zaburzenia hormonalne i inne problemy. Brytyjscy urzędnicy państwowi niewiele różnią się od pawianów, a przynajmniej pod tym względem. Ci na najwyższych szczeblach są zdrowsi i żyją dłużej niż ich podwładni, przy czym zdrowie pogarsza się, a średnia długość życia skraca z każdym stopniem w dół drabiny hierarchii. Najwyraźniej przyczyną jest to, że osoby na niższych szczeblach są względnie biedniejsze niż ci nad nimi. Przynajmniej do takiego wniosku się nas zachęca. Ale jak przekonujące są te dowody?

Zastosowany do całych społeczeństw nowy, empiryczny egalitaryzm sprowadza się do idei: jeśli kraj A i kraj B mają taki sam średni realny dochód, ale w A jest on rozdzielany bardziej równo niż w B, to A będzie miało lepsze wyniki szkolne, niższą karalność nieletnich, mniejszą przestępczość, lepszy stan zdrowia i dłuższą oczekiwaną długość życia. Mamy rozumieć, że dzieje się tak dlatego, iż w porównaniu z B, w A mniej osób jest bardziej zamożnych niż reszta lub mniej osób jest biedniejszych niż reszta.

Te dwie opcje wyglądają symetrycznie pod względem formy, ale nie są takie w treści. Jeśli chorobą społeczeństwa jest to, że patrząc „w górę”, ludzie widzą wielu rodaków, którzy są bardziej zamożni od nich samych, to istnieje wyjaśnienie, które przynajmniej nie jest sprzeczne z intuicją: ludzi dręczy zawiść lub wyrzuty sumienia z powodu własnej nieadekwatności lub pecha w obliczu sukcesu innych. Kilka lat temu [Lord Layard](#) z London School of Economics zdiagnozował to zjawisko i zaproponował, aby sukces, który jest źródłem nieszczęścia dla innych, karać podatkiem, jak przez analogię do na przykład podatku od zanieczyszczeń czy innych negatywnych efektów zewnętrznych¹.

Odwrotny przypadek, kiedy kraj A jest społecznie zdrowszy, ponieważ niewiele osób w nim jest biedniejszych od reszty, jest zupełnie inny i bardziej intrygujący. Dlaczego dzieci miałyby osiągać lepsze wyniki w szkole, jeśli mniejsza liczba ich kolegów z klasy jest od nich biedniejsza? Taki przypadek jest możliwy do wyobrażenia, ale nieco naciągany. Czy dzieci z kraju A radziłyby sobie lepiej, gdyby te nieliczne biedne dzieci zostały odsegregowane w osobnych szkołach, a reszta nie miała biedniejszych od siebie kolegów? Czy ta sztuczka zadziałałaby równie dobrze, gdyby to nieliczne bardzo zamożne dzieci zostały poddane segregacji?

Logika neoegalitarystów, a mianowicie przekonanie, że to nie niskie poziomy, ale różnice między poziomami powodują, iż społeczeństwo jest chore,

¹ Richard Layard, [Happiness: has social science a clue?](#), wykład z serii *Lionel Robbins Memorial Lectures* wygłoszony w dniach 3-5 marca 2003 r. w London School of Economics.

proceedzi nas do wniosku, że jeśli kraj A zostałby pobłogosławiony nowym, jeszcze bardziej równym podziałem dochodów, w którym nikt nie byłby zamożny i nikt nie byłby biedniejszy od reszty, społeczeństwo funkcjonowałoby idealnie, nawet jeśli w tym nowym i równym podziale wszyscy byłiby tak biedni, jak najbiedniejsi byli w starym podziale. Wygląda to nonsensownie i o ile mi wiadomo, nowi egalitaryści nie decydują się na posunięcie swojej logiki tak daleko.

Wszystkie lub większość dysfunkcji społecznych, które tłumaczą oni istnieniem różnic w dochodach, można wyjaśnić w prostszy sposób niskim poziomem dochodów, czyli staromodną, zwykłą biedą, na której egalitaryści czują, że nie mogą już polegać, wykorzystując ją jako taran przeciwko murom liberalnego porządku. Pokazują oni empiryczne dowody na to, że spośród dwóch równie zamożnych krajów egalitarny kraj A osiąga lepsze wyniki niż mniej egalitarny kraj B. Ale te same dowody w pełni uzasadniają inną interpretację. W kraju B jest z definicji więcej ludzi biednych, jak również więcej bogatych. To właśnie powszechność ubóstwa jest przyczyną niskich wyników, a nie fakt, że nie wszyscy są tak samo biedni lub tak samo zamożni.

Wnioski

Istnieją skuteczniejsze sposoby walki z ubóstwem niż „oskubanie” bogatych. Nakłanianie ludzi do tworzenia i utrzymywania rodzin z dwojgiem rodziców, jeśli rzeczywiście można ich do tego nakłonić, mogłoby być niezwykle skuteczne. Innym bardzo skutecznym środkiem byłoby podniesienie popytu na pracę, główną lub jedyną rzecz, jaką biedni mają do sprzedania. Jedną z oczywistych metod zwiększania popytu na pracę jest tworzenie kapitału zasilanego przez oszczędności publiczne, korporacyjne i indywidualne. Nie jesteśmy w stanie przewidzieć, co stanie się w takim modelu z oszczędnościami korporacyjnymi, ale wiemy, że oszczędności publiczne są zwykle ujemne. Z kolei oszczędności indywidualne są zazwyczaj znacznie wyższe u osób o wysokich niż niskich dochodach. Dlatego ten sam dochód narodowy nierówno rozdzielony przynosi więcej oszczędności, niż gdyby był rozdzielony równo. Oszczędzając więcej, osoby bardzo zamożne podnoszą, że tak to ujmę, cenę, jaką będą musiały zapłacić za pracę jutro. W każdym razie nierówny dobrobyt daje biednym więcej nadziei niż równe ubóstwo.